

z przykrego wrażenia. Wtem zdumiałem się. Ryk wichru nagle ucichł, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. W jednej chwili przemknęło mi przez myśl, że albo straszny wichur zachodni, który spowodował nieszczęsne rozbicie się „Joanny“ zbiera się w sobie, żeby za chwilę wybuchnąć ze zdwojoną siłą, albo też — i to wydawało mi się prawdopodobniejsze — wiatr zmienił swój kierunek.

Jedno spojrzenie, rzucone w niebo, przekonało mnie, że drugie przypuszczenie moje było prawdziwe. Po przez pędzące obłoki, na jedno mgnienie oka, dojrzałem słabo świecące gwiazdy. Widzenie trwało zaledwie sekundę, zaraz bowiem czarne chmury zakryły je znowu, ale tym razem pędziły one od brzegu ku pełnemu morzu.

Jaskrawa błyskawica oświeciła nagle całą zatokę. Po niej nastąpił przerażający huk. Nim jednak skały nadbrzeżne zdołały powtórzyć echo piorunu, od strony lądu doszedł nas straszny ryk, ogłuszający trzask, świst i gwizdanie, jakby całe piekło waliło prosto na nasz statek. Znowu rozszalała burza i chwyciła w swe stalowe szpony „Aninę“, która jęczała i stękała, jakby żyjąca istota. Wtem...

Gwałtowny dreszcz przeszedł cały szkielet statku, po nim nastąpił drugi jeszcze silniejszy.

— Łańcuchy kotwic pękły! — zawołał syn kapitana. — Na tylnym pokładzie wisi jeszcze lina do mierzenia szybkości, po niej poznamy, czy płyniemy.

Ostrożnie posuwaliśmy się po omacku, wzdłuż burty okrętu. Ani na sekundę nie mogliśmy się swobodnie poruszać, gdyż fala za falą przelewały się przez pokład. Musieliśmy trzymać się mocno różnych przedmiotów, spotykanych po drodze, jedną ręką szukając mocno oparcia, drugą zaś opierając się silnie nawałnicy. Prawdziwe lawiny wodne przewalały się po pokładzie, tak iż chwilami staliśmy po pachy w wodzie.

Wreszcie towarzysz mój zatrzymał się i wyciągnął rękę poza balustradę pokładu.

— Tutaj jest lina — zawołał — posuwa się naprzód. Płyniemy ku morzu.

Ja także sięgnąłem ręką ku linie i przekonałem się po kacie, pod jakim była nachylona ku pokładowi, że młody człowiek ma rację. Uniknęliśmy w ten sposób, co prawda, na razie niebezpieczeństwa rozbicia się u stóp „Bliźniaków“, ale jeśli wiatr popędzi nas w kierunku „Góry burz“, bylibyśmy i tak zgubieni.

Wokoło panowały nieprzeniknione ciemności. Beczka ze smołą zgasała już dawno, zalana falami.

— Czy światło nad kompasem się pali? — zapytałem.

— Zapewne — odpowiedział młody człowiek.

— To chodźmy przekonać się, w jakim kierunku pędzi nas wiatr i starajmy się opłynąć „Górę burz“. Na pełnym morzu będziemy znacznie bezpieczniejsi, niż tutaj w zatoce, gdzie lada chwila grozi nam rozbicie się o skały.

Mozolnie walcząc z wiatrem i burzą, dostaliśmy się do budki sternika. Jeden rzut oka na kompas przekonał mnie, że wiatr obecnie dmie od wschodu i pędzi przed sobą statek ku morzu. Niestety wiatr popychał go odwrotnie t. j. tyłem naprzód.

— Musimy za wszelką cenę próbować, obrócić „Aninę“ pod wiatr. Jeśli bowiem kierunek jego się jeszcze raz zmieni, na pewno rozbije nas o brzeg. Nie jestem jednak doświadczonym żeglarzem i nie wiem, co robić.

— Może pomoże coś, jeśli obrócimy ster — rzekł syn kapitana — należy przynajmniej spróbować.

Z tymi słowy chwycił za szprychy koła sterowego, ja chwyciłem z drugiej strony i z całej siły pociągnęliśmy. Koło obróciło się zupełnie. Powoli statek zaczął poddawać się nowemu kierunkowi i mimo wściekłego naporu fal, które ciągle z obu stron zalewały pokład, zwrócił się pod wiatr, zataczając półkole. Obrócenie się nie było jednak zupełnie, tem samem zaś niedostateczne. Strona, w którą wiatr uderzał, zwrócona była jeszcze ciągle ku wybrzeżu, a ponieważ odpływ morza i wiatr pędziły okręt w kierunku „Góry burz“, musieliśmy się za kilkanaście minut o jej skały rozbicić.

— Nie wystarczy to, cośmy zrobili! — zawołałem, ciężko dysząc pod wpływem wielkiego wysiłku.

— Jeśli uda nam się na przodzie rozwinąć mały żagiel, obrócimy wtedy statek zupełnie — tłumaczył mi. — Czy zechce mi pan pomódz?

— W każdym razie musimy próbować. Jeśli nie zdołamy wydostać się z zatoki, jesteśmy zgubieni. Naprzód więc!

W milczeniu posuwaliśmy się naprzód, w ciągłej obawie, że fale przewrócą nas, albo też który upadnie, zaplątawszy się w zerwane liny, walające się po pokładzie. Pieniące się wkoło nas fale rzucały słaby matowy odbłask, tak, że przynajmniej nie byliśmy w absolutnej ciemności.

W ten sposób doszliśmy do przedniego pomostu. Schroniwszy się za jakieś paki, przystaliśmy chwilę, a mój towarzysz zaczął objaśniać mi, co mamy robić. Następnie na czworakach podpełzaliśmy na sam przód statku. Mój przewodnik wcisnął mi w rękę koniec liny i prosił, abym tu na niego czekał, aż powróci. Po chwili zobaczyłem, jak odważnie wspina



Po nim skoczył drugi, dalej trzeci.

się po dziobie okrętu w górę ponad wzburzonemi falami. Uczucie niewypowiedzianego lęku ośwładnęło mną na myśl, że woda może go porwać, a ja zostałbym sam na okręcie z chorym człowiekiem, na okręcie, którym kierować nie potrafię, a który lada chwila najechać może na zdradliwą skałę.

Po kilku minutach usłyszałem szelest rozwijanego żagla, a w chwilę potem z ciemności wynurzył się i mój towarzysz i stanął obok mnie.

— Możemy tylko jeden żagiel rozpiąć — krzyknął mi w ucho. — Ciągnij za linę, jak tylko możesz najsilniej.

Przerzuciwszy linę przez ramię, uwiesiłem się u niej całym ciężarem ciała i obaj zaczęliśmy ciągnąć. Po chwili żagiel rozwinął się trochę, a zaraz potem zabrzmiał mi nad uchem dźwięczny głos mego towarzysza.

— Dosyć!

Badawczem okiem znawcy ocenił następnie sytuację.

— Jeśli żagiel zdoła tak długo wytrzymać, aż okręt się obróci, to już bardzo wiele zyskaliśmy.

Umocowaliśmy więc linę odpowiednio i powróciliśmy do steru. Zachowanie się mego towarzysza napawało mnie podziwem. Nie mogłem prawie

uwierzyć, aby taki młody chłopak — wyglądał zaledwie na piętnaście lub szesnaście lat, umiał tak dobrze panować nad sobą i okazać tyle prawdziwie męskiej odwagi.

Okręt potrzebował nas teraz bardzo. Kawalek żagla, który udało nam się zaciągnąć na przodzie statku, zrobił swoje. „Anina“ obróciła się zupełnie i miała teraz wiatr za sobą. To też uderzał on w nią z tyłu z całą gwałtownością i pędził, jak strzałę, naprzód. Statek dzielnie wytrzymywał ten potężny napór i płynął bez przeszkody. My obaj staliśmy nieruchomo przy sterze, ręce trzymając na jego szprychach, zalewani falami. Wzrok nasz ani na chwilę nie schodził z słabo świecącego kompasu, który wskazywał nam drogę na pełne morze

Helga Nilsen.

Jak strzała gnała „Anina“, wznosząc się i opadając na fali, a po strasznych wstrząśnieniach, jakie targały całym okrętem, gdy stał na kotwicy pod „Bliźniakami“, obecna jazda wydawała nam się czemś idealnym. Ponieważ płynęliśmy z wiatrem, nie czuliśmy tak dotkliwie gwałtowności burzy, choć wycie i świst jej w górnych rejach nie ustawał ani na chwilę, a i morze huczało wokoło z przemożną siłą.

— Czy już mineliśmy to niebezpieczne miejsce, o którym pan przedtem wspominał? — zapytał mój towarzysz po dłuższym milczeniu.

— Zdaje mi się, że tak. Kiedy zerwały się łańcuchy u kotwic, staliśmy w niebezpiecznym bardzo sąsiedztwie „Góry burz“. Wobec tego, że jedziemy teraz z szybkością ośmiu albo nawet dziesięciu węzłów, okręt oddalił się od niej przynajmniej o milę.

Młody człowiek westchnął głęboko.

— Co my też teraz zrobimy — zawołał. — Na mego chorego ojca nie mamy co liczyć, a jakżeż, my we dwóch, potrafimy kierować takim dużym statkiem.

— Noc i burza nie będą wiecznie trwały — pocieszałem — jutro już może pogoda się zmienić, a jakiś przejeżdżający okręt udzieli nam chętnie pomocy. Czy wasz statek nadaje się w zupełności do żeglugi morskiej?

— Ależ tak — odpowiedział — „Anina“ ma dopiero trzy lata i jest doskonale zbudowana. Należy do mego ojca.

Po chwili dorzucił: — Jakżeż chętnie poszedłbym do niego. Wyobrażam sobie, z jaką niecierpliwością oczekuje wiadomości o tem, co się stało. Wreszcie, już dawno minął czas, kiedy miał zażyć lekarstwo i zjeść kolację.

Spojrzałem zdziwiony na mówiącego. Ton, w jakim ostatnie słowa wypowiedział, był tak czysto kobiecy, że nie zgadzałem się zupełnie z dzielnością, jakiej w ostatnich godzinach młody człowiek dał dowody. Słabe światło kompasu pozwoliło mi jednak

dojrzeć tylko wysmukłą postać mego współtowarzysza. Twarzy zupełnie rozróżnić nie mogłem.

— Idź pan spokojnie do ojca — rzekłem. — Ze sterem dam sobie sam radę.

Puścił szprychy i odstąpił kilka kroków. Przez chwilę przypatrywał mi się badawczo, jakby chcąc się przekonać, czy istotnie dam sobie radę, potem zniknął w ciemnościach. Słyszałem tylko jego oddalające się szybko kroki.

Pozostałem sam przy sterze, pod wrażeniem jego świeżego głosu. Dziwiło mnie także i to, że bardzo dobrze mówił po angielsku, a tylko tu i ówdzie akcent, zbyt miękki lub twardy, zdradzał w nim cudzoziemca.

Myśli moje wnet jednak inny wzięły obrót. Zacząłem rozmyślać nad obecnym moim położeniem. Nie było ono wesołe. Jakby kamień wielki przytłoczył mi serce. Po przez poświsty burzy zdawało mi się, że słyszę znowu, w śmiertelnej trwodze wznoszone, okrzyki moich nieszczęśliwych towarzyszy. Wśród rozpetanych fal szukałem znowu rozbitej łodzi „Joanny“. W beznadziejnej rozpaczyci zaciskałem zęby, przeliczając w myśli liczne ofiary tej strasznej nocy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)